

25
biblioteka
UMK
Toruń

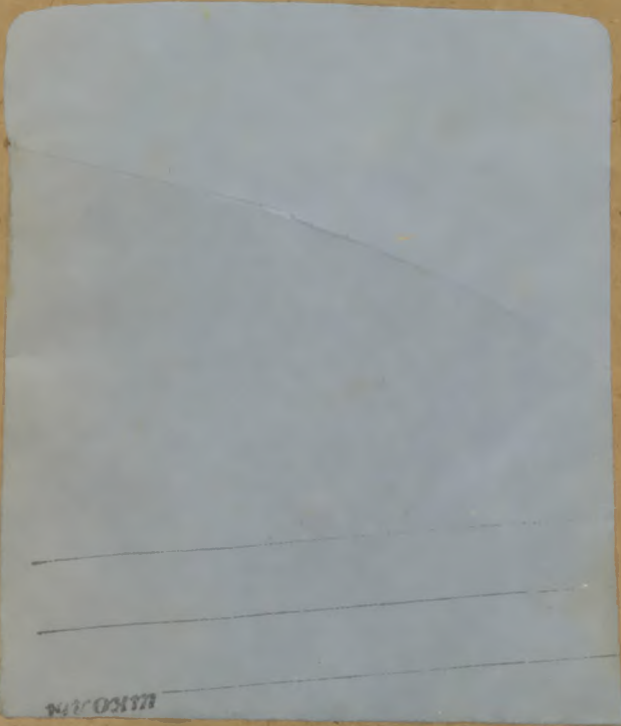
122
442872

M. GORŃKIJ

KOCHAJCIE
KSIĄŻKĘ!

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO UKRAINY.

1005



LITKO, M.

Specialized Systems

752952

G 71

[891.71-3]

M. GORKIJ

~~9 26~~
~~5 76~~

891.71-3

G 65k

KOCHAJCIE KSIĄŻKĘ

30026

Вижиний фонд С.З.ОБ
№ 29415

Spolszczył A. P.



Вижиний фонд С.З.ОБ
№ 29415

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO UKRAINY

1926

30k

Handwritten mark

Na zamówienie Państwowego
Wydawnictwa Ukrainy bro-
szurę tę wydała Spółdzielnia
Wydawnicza „TRYBUNA NA
UKRAINIE“ — Kijów, ul. Wo-
rowskiego № 38.

442872



Укрголовліт № 1395 (17329) „Kijew-Pieczat“ 4-та друк. Зам. № 3708.—3000.

K. 990/12

Czytać świadomie nauczyłem się, gdy miałem lat 14. Już wówczas zajmowała mnie nie tylko treść książki — mniej lub bardziej ciekawy przebieg wypadków,—lecz zaczynałem już rozumieć piękno opisów, zastanawiać się nad charakterem bohaterów, uświadamiać sobie, choć niewyraźnie, cele autora. Już wtedy odczuwałem niejasno sprzeczność między tym, o czym mówiła książka, a tym, co było w życiu.

U PRACODAWCY.

Żyłem wówczas kiepsko — pracodawcy moi byli to mieszczenie do szpiku kości, ludzie, dla których największym zadowoleniem było jado, a jedyną rozrywką cerkiew, dokąd chodzili tak wystrojeni, jak gdyby szli do teatru lub na zabawę publiczną. Pracowałem dużo, do zupełnego prawie otepienia. Dnie powszednie i święta były jednakowe, przeładowane drobiazgową, bezmyślną, bezowocną pracą. Dom, w którym mieszkali moi pracodawcy, należał do „podriadczyka“*) robót ziemnych i brukowych, ni-ziutkiego, krępego chłopca z Klazmy. Ten człowieczek o ostrej bródce i szarych oczach był zawsze

*) Przedsiębiorca, który wykonywa z czyjegoes polecenia jakąs pracę, wynajmując w tym celu robotników i zakupując materiały.

zły, ordynarny i jakiś obojętnie okrutny. Pracowało u niego około 30-tu robotników — wszystko chłopię z gubernji Włodzimierskiej. Mieszkali oni w ciemnej suterynie o podłodze cementowej i maleńkich oknach, umieszczonych poniżej ziemi. Wieczorami, zmęczeni pracą, najadłszy się kapuśniaku z cuchnącej kwaszonej kapusty z flakami lub mięsem solonym, które czuć było saletrą, wyłazili na brudne podwórze i wylegiwali się na nim, bo w wilgotnej suterynie było duszno i zawsze pełno swądu od wielkiego pieca. „Pan podriadczyk“ ukazywał się w oknie swego pokoju i wrzeszczał: „Ej wy, djabły, znów powyłaziliście na dwór? Rozwalili się już, jak te świniel! W moim domu mieszkają porządni ludzie. Bardzo to im przyjemnie na was patrzeć!“.

Robotnicy, milcząc, wracali pokornie do suteryny.

NIEWOLNICY.

Byli to smutni ludzie. Śmieli się rzadko, nigdy prawie nie śpiewali, mówili skąpo, niechętnie i wiecznie zabrudzeni ziemią, wydawali mi się trupami, które wskrzeszono do życia wbrew ich woli, poto, by się nad niemi znęcać i mordować je znowu przez całe życie. „Porządni ludzie“ — oficerowie, karcjarze i pijacy bili do krwi swych „deńszczyków“*), swe kochanki, pstro ubrane, pałace papierosy kobiety. I te też się upijały i również biły do krwi „deńszczyków“. Pili również i „deńszczycy“, pili dużo, upijając się na

*) Usługujących 1m żołnierzy.

śmierć. W niedzielę „podriadczyk“ wychodził na ganek i siadał na schodkach z długą wążką książką w jednej ręce i z kawałkiem ołówka w drugiej. Robotnicy podchodzili do niego kolejno, jak żebracy. Mówili przyciszonym głosem, kłaniali się mu uniżenie, a „podriadczyk“ wrzeszczał na całe podwórko:— „No, no, dobrze! Bierz rubla! Co, może chcesz w pysk? Obejdiesz się i tym. No, precz mi stąd!.. Słyszałeś?“

Widziałem, że pomiędzy robotnikami jest sporo chłopów z jego wsi, że są między nimi i jego krewni, lecz był on ze wszystkimi jednakowo okrutny i ordynarny. Robotnicy tak samo byli okrutni i ordynarni względem swych towarzyszy, szczególnie zaś względem „deńszczyków“. Prawie co tydzień odbywały się na podwórzu krwawe bójki, rozlegały się sążniste ordynarne przekleństwa. Bili się bez złości, jakby wykonywując nudny obowiązek. Pokaleczony do krwi robotnik oddalał się lub czołgał na bok i oglądał tam w milczeniu swe blizny, rany, obmacywał brudnymi palcami wybite zęby, skrwawioną twarz, spuchnięte od uderzeń oczy... Nigdy nie wywoływało to jednak współczucia wśród kolegów. Natomiast podarta koszula martwiła wszystkich, a poturbowany jej właściciel przeklinał ponuro, a zdarzało się też, że i płakał.

ŻAŁ MI CZŁOWIEKA.

Sceny te budziły we mnie niewypowiedziane ciężkie uczucie. Żał mi było ludzi, ale żałowałem

ich jakąś zimną litością, nigdy nie budziła się we mnie chęć zwrócenia się do któregoś z nich z łaskawym słowem, nigdy nie pomyślałem o tym, by dopomóc czymkolwiek skaleczonym,—choćby podać im wody, żeby mogli zmyć brudną, gęstą, z błotem i kurzem zmieszaną krew. Właściwie nie lubiłem ich, trochę się ich bałem i wymawiałem słowo „muzuł” (chłop) tak samo, jak to robili moi pracodawcy, oficerowie, pop, kucharz, a nawet i „deńszczycy”. Wszyscy ci ludzie mówili o chłopach z pogardą.

Ubolewać nad ludźmi jest ciężko, zawsze się chce radośnie kogoś kochać, a kochać nie było kogo. Tym bardziej pokochałem książki. Było jeszcze w owym moim otoczeniu dużo innego brudu i okrucieństwa. Wywoływało to ostre uczucie wstrętu i odrazy. Nie będę, zdaje się, mógł dać wam pojęcia o tym; wy sami bowiem znacie to zezwierzęcenie, to powszechne znęcanie się człowieka nad człowiekiem, tę chorobliwą żądzę pastwienia się nad innym — tą istotną rozkosz niewolników.

I oto w takim przeklętym otoczeniu rozpocząłem uporczywie czytać dobre, poważne książki obcych autorów.

O CZYM MÓWIĄ KSIĄŻKI?

Być może, iż nie potrafię wyrazić dość jaskrawo i przekonywująco zdziwienie, jakie odczułem, widząc, że niemal każda książka jakgdyby przebija okno do jakiegoś nowego, nieznanego mi świata, opowia-

dając mi o ludziach, uczuciach, myślach i stosunkach, których nigdy nie znałem, nie widziałem. Zdało mi się nawet, że życie, które mnie otacza, wszystek ten brud, ciężar, okrucieństwo, które miałem codziennie przed oczyma, że to wszystko jest jakieś nieprawdziwe, niepotrzebne, a to, co prawdziwe i potrzebne jest tylko w książkach. Myślałem, że tylko w książkach wszystko jest rozumne, dobre i ludzkie. Co prawda, książki opowiadały też o okrucieństwie, o głupocie ludzkiej, o ludzkich cierpieniach i opisywały one złe i nikczemne postacie, ale obok nich byli i inni ludzie, tacy, jakich nie zdarzało mi się widzieć, o których nawet nie słyszałem w życiu,—ludzie uczciwi, silni duchem, szczerzy, gotowi, jeśli trzeba, iść na śmierć za ideję, w imię prawdy. W początku ten nowy i tak wysoko duchowy świat, który mi odkryły książki, tak mnie odurzył, że zacząłem je uważać za lepsze, ciekawsze, nawet bliższe od ludzi i jakgdybym trochę oślepl, patrząc na rzeczywiste życie przez książki. Ale surowy mędrzec — życie postarało się uleczyć mnie z tego zaślepienia.

STIEPAN LESZYN.

W dniu powszednie, gdy moi pracodawcy szli z wizytą do znajomych lub na spacer, wyłaziłem przez okno dusznej, cuchnącej tłuszczem kuchni na dach i zabierałem się do czytania. Na podwórzu zataczali się na nogach nawpół pijani albo zaspani robotnicy,

piszczały pokojówki, praczki i kucharki, nękanie przez okrutne pieścizoty „deńszczyków“. Spoglądałem zgóry na podwórze i pogardałem dumnie tym życiem pijanym, brudnym i rozpustnym.

Jeden z robotników był dziesiętnikiem, czyli „dorząca“, jak go przezwano. Był to niezgrabny, zbudowany jakby z cienkich kości i niebieskich żył starszek Stiepan Leszyn, człowiek o oczach głodnego kota i zabawnie sterczącej ze wszystkich stron siwiutkiej bródce: z żółtawej twarzy, żylastej szyi i uszu. Obdarty, brudny, nędzniejszy od wszystkich robotników, był on najbardziej z nich wszystkich towarzyski. Lecz reszta obawiała się go widocznie i nawet sam „podriadczyk“ zniżał w rozmowie z nim swój krzykliwy, wiecznie rozdrażniony głos. Nieraz słyszałem, jak robotnicy wymyślali Leszynowi za oczyma:

— Skąpy cholera! Judasz! Lizus.

Dziadek Leszyn był bardzo ruchliwy, ale spokojny człowieczyzna. Miał on zwyczaj zjawiać się jakoś cicho, niespostrzeżenie, to w tym, to w innym kącie podwórza, wszędzie gdzie się zbierało po dwóch-trzech ludzi. Ot podejdzie, mrugnie kociemi oczyma i, pociągnawszy szerokim swym nosem, zapyta:

— Cóż tam, hę?

Zdawało mnie się, że on zawsze czegoś szuka, czeka jakiegoś słowa.

LESZYN—MOIM PRZYJACIELEM.

Pewnego razu, kiedym siedział na dachu szopy, Leszyn wlaźł, wlażąc do mnie po drabinie, siadł obok i rzekł, pociągawszy nosem:

— Sianko pachnie... Dalibóg, tyś sobie dobre miejsce obrał, i czysto tu i zdala od ludzi. Cóż to tam czytasz?

Patrzył się przytym na mnie tak jakoś przychylnie, to też mu opowiedziałem com przeczytał.

— Tak,—powiedział, kiwając głową.

— Tak,—tak!

Długo milczał, dłubiąc brudnym palcem złamany paznokcieć na lewej nodze i, spojrzawszy na mnie z ukosa, rzekł raptem, niegłośno, śpiewnie, jakgdyby coś opowiadając:

— Był we Włodzimierzu uczony pan Sabaniejew, człowiek znakomity i miał syna Piotra, czy jak go tam—zapomniałem. I ten ciągle książki czytał i innych do tego zachęcał. No i zaaresztowali go.

— Za co?—zapytałem.

— Właśnie za to! Nie czytaj, a jeżeli czytasz, to trzymaj język za zębami.

Naraz uśmiechnął się, mrugnął i powiedział:

— A widzę, żeś poważny, nie łobuzujesz.

No trzymaj się, chłopaku...

Posiedział jeszcze trochę na dachu i zszedł na podwórze.

Odtąd zauważałem, że Leszyn przygląda mi się, obserwuje mnie. Coraz częściej podchodził do mnie ze swym pytaniem:

— No i co tam, hę?

Jednego razu opowiedziałem mu pewną historję, która uczyniła na mnie bardzo silne wrażenie, dzieje zwycięstwa dobra i rozumu nad złem. Wysłuchał mnie bardzo uważnie i, kiwnąwszy głową, powiedział:

— Zdarza się!

— Zdarza się?—zapytałem radośnie.

— A jakże, oczywiście! Wszystko bywa! — potwierdził dziadek. Opowiem ci historyjkę.

Opowiedział mi ładną historję o żywych, nieksiążkowych ludziach, a w końcu rzekł:

— Oczywiście, że wszystkich tych spraw całkiem dobrze pojąć nie możesz, jednak zrozum najważniejszą rzecz: dużo na świecie głupoty, głupota ta opętała lud! Wielką moc posiada głupota, rozumiałaś? Zło przygnębia nas, rozumiesz?

Słowa te przeszły me serce, jakgdybym odrazu światło ujrzał. A przecież naprawdę to życie, polegające na bijatykach, rozpuszcie, drobnych złodziejstwach i wymyślaniach, jest bardzo nędzne i puste. I być może, że te przekleństwa dlatego tak obficie ludziom z ust płyną, że nie znają oni dobrych, czystych słów.

Stary przeżył na świecie pięćkroć więcej odemnie, wie dużo i jeżeli on mówi, że dobro w życiu „bywa“ rzeczywiście, to trzeba mu wierzyć. Chciało się wierzyć, bo książka obudziła już we mnie wiarę w człowieka.

KSIĄŻKI ODZWIERCIADLAJĄ RZECZYWISTE ŻYCIE.

Poczytałem się domyślać, że książki odzwierciedlają rzeczywiste życie, że ludzie w książkach, że się tak wyrażę, odtwarzają rzeczywistość. A więc, rozważałem, powinni być i w życiu dobrzy ludzie, inni, niż ten dziki „podriadczyk“, niż ci moi pracodawcy i pijani oficerowie i wogóle wszyscy znani mi ludzie.

KSIĄŻKI—TO WIELKA RADOŚĆ W ŻYCIU.

Odkrycie to było dla mnie wielką radością, rozpocząłem przyglądać się ludziom z większą otuchą. Jeżeli przeczytałem coś dobrego, radosnego, świętecznego starałem się opowiedzieć o tym robotnikom, „deńszczykom“. Oni nie bardzo chętnie słuchali moich opowiadań i, zdaje się, nie wierzyli mi, ale Stiepan Leszyn zawsze mówił:

— Zdarza się. Wszystko się zdarza, mój kochany!

Nader wielkie znaczenie miało dla mnie to krótkie mądre słowo! Im częściej je słyszałem, tym więcej dodawało mi ono otuchy i hartu ducha, niepokonanej chęci „postawienia na swoim“. Przecież jeżeli „wszystko“ „się zdarza“—to znaczy, będzie również to, czego ja chcę. Zauważyłem, że w chwilach największych nieszczęść, które mi posyłało życie, w ciężkich chwilach, których przeżyłem wie-

le, wzmagało się we mnie uczucie wiary i uporu, że właśnie w takich chwilach ogarniała mnie potężna żądza usunięcia wszystkiego brudu z życia. To pozostało właściwością mą również obecnie, gdy mam lat 50, pozostanie do samej śmierci i tę swą cechę zawdzięczam książkom, które odzwierciadlają wielkie męki i tortury rozwijającej się duszy ludzkiej. Zawdzięczam ją nauce i sztuce.

KSIĄŻKI OTWIERAŁY PRZEDEMNĄ NOWY ŚWIAT.

Szczególnie wiele korzyści przyniosły mi tygodniki ilustrowane, ilustracje (obrazki), opisujące miasta, ludzi i wypadki życia zagranicą i coraz bardziej zaznajamiały mnie ze światem. Odczuwałem coraz więcej jaki świat ten wielki, ciekawy, jak dużo w nim wielkich czynów. Te pałace i domy, niepodobne do naszych izb i chałup, ludzie inaczej ubrani, jakoś odmiennie upiększona ziemia, cudowne maszyny, nadzwyczajne owoce pracy ludzkiej—wszystko to wywoływało we mnie uczucie jakiejś dziwnej otuchy i chęci też coś zrobić, coś stworzyć samemu. Różnych nowych rzeczy się dowiadywałem, ale odczuwałem nieświadomie, że wszystko to świadczy o twórczej potędze człowieka. I mój szacunek do człowieka wciąż wzrastał.

Byłem wprost wstrząśnięty, gdym pewnego razu zobaczył w jakimś tygodniku portret słynnego uczonego Faradeusza i, przeczytawszy niezrozumiały, tru-

dny dla mnie artykuł o nim, pojąłem jednak to, że Faradeusz był zwykłym robotnikiem. To mię oszłomiło, wydało mi się bajką.

Książki—potęgują rozum ludzki. Jakżeż—to, myślałem niedowierzająco. A więc ktoś z tych robotników może też zostać uczonym? A może i ja? Trudno mi było temu uwierzyć. Zacząłem dowiadywać się, czy niema jeszcze czasem i innych jakichś znakomitych ludzi, którzyby byli przedtym zwyczajnymi robotnikami. W tygodnikach niczem nie znalazł, znajomy gimnazysta opowiedział mi, że jeszcze wielu innych wybitnych ludzi było wpierrw robotnikami i nazwał mi kilka imion, między innymi—Stefensona. Lecz nie uwierzyłem gimnaziście. Im więcej czytałem, tym więcej książki zbliżały mnie do świata, tym barwniejszym, treściwszym stawało się dla mnie życie. Widziałem, że są ludzie, którzy żyją w gorszych, cięższych ode mnie warunkach i to mnie trochę pocieszyło, nie godząc jednak z obrażającą ludzkie uczucia rzeczywistością. Widziałem też, że są ludzie, którzy umieją żyć ciekawie i wzniosłe, tak, jak nie potrafi żyć nikt z mego otoczenia. I prawie w każdej książce brzmi jak gdyby cichy, trworzny dzwon, nawołujący do czegoś nieznanego, poruszającego duszę całą. Wszyscy ludzie byli w ten lub inny sposób nie zadowoleni z życia, szukali czegoś lepszego i wszyscy stawali mi się bliżsi, rozumiali. Książki spowijały całą ziemię, świat cały w tęsknotę za czymś

lepszym i każda z nich zdawała się być duszą ludzką, przeniesioną na papier za pomocą znaczków i słów. Znaczkki te i słowa stawały się żywe, gdy oczy me i rozum mój stykały się z niemi. Czasami płakałem przy czytaniu, tak dobrze książki opowiadały o ludziach, tak mocno czułem, jak stają mi się oni mili i blizcy. I ja, chłopak zahukany bezmyślną pracą, cierpiący od idiotycznych wymyślań, dawałem sam sobie uroczyste przyrzeczenia dopomagać ludziom, uczciwie służyć im, gdy dorosnę.

Książki, niby jakieś dziwne ptaki bajeczne, śpiewały i mówiły do mnie, jak do więźnia w niewoli o tym, jak bogate jest życie, jak odważny jest człowiek w swym dążeniu do dobra i piękna. I im dalej, tym zdrowszą i pełniejszą otuchy stawała się dusza moja.

KSIĄŻKI—DROGA DO ROZUMNEGO I SZCZĘŚLIWEGO ŻYCIA.

Stawałem się spokojniejszy, pewniejszy siebie, pracowałem rozumniej i mniej uwagi zwracałem na niezliczone klęski życia. Każda książka była jakby małym stopniem drabiny, im wyżej się wspinałem, tym dalszy byłem od zwierzęcia, a bliższy człowieka, tym jaskrawszym stawał się obraz lepszego życia, tym silniejszym pragnienie tego życia. Czułem się z nadmiaru tego nowego, co mi książki dawały, jak gdyby naczyniem do brzegów przepelnionym ożywczym płynem. Szedłem do „deńsz.

czyków“ i robotników i odtwarzałem przed niemi różne wyczytane historie. To ich bawiło.

— Ach ty, smarkaczu jeden—mówili—prawdziwy z ciebie komedjant. Trzebaby ci na jarmarkach przedstawiać.

Nie tego mi było naturalnie trzeba, liczyłem na coś innego, ale zadawałmiłem się i tym. Jednak, udawało mi się czasem, nie często co prawda, zmuszać chłopów włodzimierskich do słuchania mnie z natężoną uwagą, czasami zaś potrafiłem doprowadzić niektórych z nich do zachwytu i nawet do łez; to powodzenie przekonywało mnie jeszcze bardziej o żywej, budzącej mocy książki.

JAK UCZYŁEM CZYTAĆ.

Wasył Rybakow, chłop, ponury siłacz, co to lubił milczkiem tak pchnąć człowieka ramieniem, że ten odskakiwał jak piłka, otóż ten milczący urwis pociągnął mnie pewnego razu w kąt za stajnię i zaproponował.

— Aleksieju, nauczże mnie czytać, dam ci pół rubla, a jak nie nauczysz, to cię bić będę, do grobu zapędzę, jak mi bóg miły.

I przeżegnał się rozmaszyście. Ja się bałem tego ponurego łobuza, ze strachem więc rozpocząłem go uczyć. Ale nauka odrazu poszła dobrze. Rybakow wyjawiał upór w tej niezwyklej dlań pracy i okazał się dość pojętnym uczniem. Po pięciu tygodniach, wracając z roboty, zawołał on mnie ta-

jemniczo do siebie i wyciągnawszy z kieszeni jakiś zgnieciony papier, zabełkotał wzruszony:

— Patrzaj, zdarłem to z parkanu, a co tu pisze, he? Poczka, — „dom do sprzedania“. Czy dobrze przeczytałem? Ano co, sprzedaje się, czy tak?

— Dobrze.

Rybakow okropnie wytrzeszczył oczy, na czoło wystąpił mu pot; po kilku chwilach milczenia schwytał mię za ramię i cicho przemówił:

— Rozumiesz, patrzę ci ja sobie na parkan i przysiągłbyś, że ktoś tam szepcze „dom do sprzedania“! Zmiłuj się, boże. No, głowę bym oddał, szepcze, jak boga Kocham! Słuchaj, Aleksieju, miałbym się już naprawdę nauczyć, co?

— No, czytaj dalej.

Przyłgnął nosem do papieru i zaszeptał: dwu—tak? piętrowy, na kamiennym...

Twarz jego rozplynęła się w szerokim uśmiechu, pokiwał głową, zaklął ordynarnie i począł starannie zwijać papier.

— Zostawię to na pamiątkę, jako że to pierwsze. Ach, na rany boskie. Rozumiesz?.. Niby to nadszeptuje, ha? Ach ty...

Śmiałem się do rozpuku, patrząc na jego soczystą, silną, chłopską radość, na to dziecinne miłe zdumienie, w które go wprawiła ta nowa dlań tajemnica, która go nauczyła odczytywać obce myśli i mowę obcej duszy za pomocą małych czarnych znaczków.

CZYTANIE KSIĄŻEK PRZEISTACZA LUDZI.

Mógłbym wiele opowiedzieć o tym, jak czytanie książek—ta zwykła dla nas, ale w istocie swej tajemnicza praca duchowego łączenia człowieka z wielkimi umysłami wszystkich czasów i narodów, jak ten proces czytania pomaga zrozumieć sens życia i znaczenie człowieka w tym życiu. Mógłbym przytoczyć dużo takich cudownych zjawisk bajecznej niemal piękności. Nie mogę jednak ominąć jednego z takich wypadków.

JEDNOOKI SZEWC.

30026 Mieszkałem wówczas w Arzamasie pod dozorem policyjnym. Sąsiad mój, naczelnik ziemski, Chotjan-cew, jakoś specjalnie mnie nie cierpiał—do tego stopnia, że zabronił swej służącej rozmawiać wieczorami przy bramie z mą posługaczką. Postawili mi pod oknem policjanta, który z naiwną bezwzględnością zaglądał do mnie do pokoju, kiedy to uważał za potrzebne. Wszystko to bardzo nastraszyło mieszkańców i przez długi czas nikt z nich nie odważał się odwiedzić mnie.

Ale pewnego razu, było to w święto, zjawił się do mnie pewien jednooki człowiek w półszubku i czapce, z tłumoczkiem pod pachą i zaproponował mi kupić u niego buty. Odrzekłem mu, że buty są mi niepotrzebne. Wówczas jednooki, zerknąwszy podejrzliwie na drzwi sąsiedniego pokoju, powiedziało cichutko:

22987

№ 19415

— Buty—to tylko tak, dla pozor, panie literacie, bo prawdę powiedziawszy przyszedłem poprosić, czy nie znaleźlibyście dla mnie jakiejś dobrej książeczki do przeczytania?

Jego mądre oko nie pozostawiało wątpliwości co do szczerości jego życzeń i ostatecznie przekonałem się o tym, gdy na me pytanie, jaką chciałby otrzymać książkę, odpowiedział widać po namyśle, a wciąż się oglądając:

— Żeby tak, panie, coś było o prawach życia, t. j. o prawach świata.

Nie rozumiem ja tych praw, jak trza żyć i... wogóle.

Tu na letnisku mieszka profesor matematyki z Kazania. Biorę ja u niego lekcje matematyki za reperację obuwia, za prace ogrodowe (bo jestem też i ogrodnikiem). Ale matematyka nie odpowiada na me pytania, a i sam nauczyciel jest jakiś milczący.

Dałem mu małowartą książeczkę Drejfusa: „Revolucja wszechświatowa i socjalna“, jedyną co znalazłem u siebie w tej kwestji.

— Dziękuję serdecznie—rzekł jednooki—wtykając starannie książkę za cholewę. Pozwólcie przyjść do was pomówić, gdy książkę przeczytam. Tylko tym razem przyjdę niby jako ogrodnik, nibyto ostrzyc maliny w ogrodzie, bo wiecie, policja bardzo nas pilnuje i wogóle nie mogę inaczej...

CO UCZYNIŁA KSIĄŻKA Z JEDNOOKIM SZEWCEM.

Przyszedł do mnie po pięciu dniach w białym fartuchu, z nożycami ogrodniczymi i rogózką w ręku i zdziwił mnie swym radosnym wyglądem. Oko jego wesoło błyszczało, głos brzmiał dźwięcznie i pewnie. Po pierwszych prawie słowach, uderzył dłonią w książkę Drejfusa i przemówił szybko:—Czy mogę stąd wyciągnąć taki wniosek, że boga niema?

Nie jestem zwolennikiem takich pośpiesznych „wniosków“ i dlatego zacząłem ostrożnie dopytywać się go, co mu się w takim właśnie „wniosku“ podoba.

— Dla mnie to jest — najważniejsze! — przemówił cicho i z zapalem. Rozumuję tak, jak wszyscy podobni: jeżeli istnieje bóg i wszystko jest w jego mocy—to znaczy, że powinienem żyć, poddając się pokornie najwyższym przepisom boskim. Wiele ksiąg pobożnych przeczytałem. Jednak chciałbym wiedzieć: czy odpowiadam za siebie i za całe swoje życie, czy nie? Według pisma wypada, że nie, żyj ot tak, jak ci bóg przykazał, to znaczy, że cała nauka na nic. A więc i astronomja kłamie, i matematyka i wogóle wszystkie nauki. Wy, ma się rozumieć, nie zgadzacie się z tym, żeby człowiek przebywał w pokorze?

— Nie—odpowiedziałem.

— Czemuż że ja mam się z tym zgadzać? Was wysłano tu oto pod dozór policji. Znaczy to, że ośmieliliście się powstać przeciwko pismu świętemu,

bo ja tak rozumię: kto się odważa na protest, ten musowo jest i przeciw pismu świętemu. Bo ono jest źródłem wszelkiego ujarznienia, a wolność tylko z nauki wypływa, to znaczy z rozumu ludzkiego. Teraz—dalej, jeżeli bóg jest, to mnie nic do roboty nie zostaje, a jeżeli go niema, to ja sam odpowiadam za wszystko, za całe życie,—za wszystkich ludzi. Owszem, chcę nieść odpowiedzialność za przykładem ojców świętych, tylko inaczej—nie uległością, a sprzeciwianiem się złu w życiu.

I, uderzając znowu w książkę, dodał z niezłomnym przekonaniem.

— Wszelka uległość jest zła, bo popiera zło! I przepraszam was, ale ja tej książce wierzę! Ona jest dla mnie jakby drogą w gęstym lesie. Takim już sobie postanowił, co do mnie. Za wszystko sam odpowiadam! Tak.

Rozmawialiśmy przyjaźnie, do późnej nocy i przekonałem się, że ta małowarta książeczka była ostatnim uderzeniem młota, który przekuł buntownicze porywy duszy ludzkiej w radosny hołd piękna i potęgę rozumu wszechświata. Miły ten, mądry człowiek rzeczywiście sprzeciwiał się złu życia i spokojnie zginął w r. 1907.

Potęga książki jest niezwalczona. Otóż tak samo, jak ponuremu urwisowi Rybakowowi, szeptały i mnie książki o innym życiu bardziej godnym człowieka, niż to, którem znał, i wykazywały mi, tak jak i jednookiemu szewcowi, moje miejsce w życiu.

Oskrzydlając mój rozum i serce, książki dopomogły mi wznieść się nad zgniłe błoto, w którym-bym bez nich zatonął, zachłystawszy się głupotą i brudem. Coraz-to więcej, rozszerzając przedemną granice wszechświata, książki mówiły mi o tym, jak wielki i piękny jest człowiek w dążeniu swym do lepszego życia, jak wiele zrobił on na świecie, i jakich okropnych cierpień go to kosztowało. I w duszy mej rosło uznanie dla każdego człowieka, potęgował się szacunek dla jego pracy, miłość dla jego niespokojnej duszy.

Życie stawało się lżejszym, weselszym, nabierało wielkiej treści.

Tak samo, jak i w jednookim szewcu, książki wychowały i we mnie poczucie osobistej odpowiedzialności za wszystko złe w życiu i wywoływały we mnie hołd dla twórczej mocy rozumu ludzkiego.

KOCHAJCIE KSIĄŻKĘ.

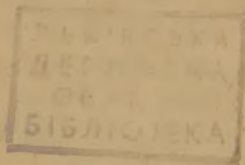
I z głęboką wiarą w prawdę swego słowa, powiadam wszystkim: Kochajcie książkę, ona wam ulży życie, dopomoże jak przyjaciel przebić właściwą drogę w pstrej i burzliwej płataninie myśli, uczuć, wypadków. Książka nauczy was szanować człowieka i samych siebie, ona ogarnie rozum i serce uczuciem miłości do świata i ludzi.

Niechaj książka będzie wrogą waszym przekonaniom, ale jeżeli ona jest uczciwie napisana, z miłością do ludzi, z życzeniem im dobra,—wtedy jest

to piękna książka. Wszelka wiedza jest korzystną, korzystną jest również świadomość pomyłek rozumu, pomyłek uczucia.

Kochajcie książkę—źródło wiedzy, bo tylko wiedza jest zbawcą, tylko ona może nas uczynić silnymi duchowo, uczciwymi, rozumnymi ludźmi, zdolnymi szczerze kochać człowieka, szanować działalność jego i szczerze się cieszyć z owoców jego ciągłej i wielkiej pracy.

Wszystko, co zrobił i robi człowiek, rzecz każda—zawiera część duszy jego, nauka i sztuka zawiera najwięcej tej czystej i szlachetnej duszy. Najwymowniej i najrozumialej przemawia ona z książek.



Spis rzeczy.

	Str.
U pracodawcy	3
Niewolnicy	4
Żal mi człowieka	5
O czym mówią książki	6
Stiepan Leszyn	7
Leszyn—moim przyjacielem	9
Książki odzwierciadlają rzeczywiste życie	11
Książki—to wielka radość w życiu	11
Książki otwierały przedemną nowy świat	12
Książki—droga do rozumnego i szczęśliwego życia	14
Jak uczyłem czytać	15
Czytanie książek przeistacza ludzi	17
Jednooki szewc	17
Co uczyniła książka z jednookim szewcem	19
Kochajcie książkę	21



Biblioteka Główna UMK



300045024670

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



✻ E 480450' ✻

x. xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

442.872

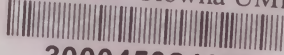
М. ГОРЬКИЙ

Цена 13 коп.

ЛЮБИТЬ КНИЖКУ.

Р.—№ 21590

Biblioteka Główna UMK



300045024670

